

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie – człowieka o sobie



Jojo

W salonie mych myśli przy okrągłym stole już siedzą, filozof Pan Nietwór, w garniturze zielonym, i jego asystent Daniel Spaniel, w garniturze brązowym. Na stole srebrna taca. Na srebrnej tacy kryształowe kieliszki, co wiernym wzrokiem się gapią na dwie stojące obok urodziwe flaszki. W tej chwili wchodzi błękitnooka złotowłosa Wiosna. Świetnie, że jesteście Panowie. Będę mogła spełnić swe marzenie. Walnę was jojem naszego Autora.

– A gdy to już nastąpi, droga Wiosno – powiedział Pan Nietwór, skosztujemy zawartość tych flaszek, co stoją na tacy. Ta zawartość jest dziełem rąk Andrzejska Dębkowskiego. Stąd nazwa *Andrzejówka*. W jednej flasce jest męska napojka, czeremchówka, a w drugiej flasce, damska nalewka, czeremchinka. Jedna dla naszego Autora, a druga dla Pani Autorowej. Zostały im wręczone przez swego twórcę podczas IX Międzynarodowego Festiwalu Poezji w Polanicy Zdroju „Poeci bez granic” odbywającego się w dniach 14-18 XI 2012 roku.

– Dzięki poezji pocujemy czeremchowy smak życia – powiedział Daniel Spaniel.

– Dzięki poezji walnę was, Panowie, jojem – powiedziała Wiosna.

– No, to być! – powiedział Pan Nietwór, ponadczasowo mrugając okiem w stronę Wiosny.

– No, to być! – powiedziała Wiosna, międzygwiezdnie mrugając okiem w moją stronę.

– No, to być! – powiedziałem w stronę Wiosny, mrugając oknem salonu mych myśli, do którego właśnie wszedłem. Bęc! Bęc! – powiedziały do siebie obie *Andrzejówki* stojące na okrągłym stole.

– Jojo! Jojo! – powiedziała bursztynowym głosem Wiosna.

No, to niechaj tak będzie, wyraziłem zgodę

jako autor.

Miałem już wtedy pięć lat i miałem już co wspominać na podstawie moich dotychczasowych życiowych doświadczeń, obserwacji, konotacji, fascynacji. Z najwyższą uwagą i ciekawością podziwiałem grupy cyrkowców chodzących ulicami Lwowa, śpiewających szlagiery dobrze znane wszystkim z radia, kina, płyt gramofonowych, koncertów i występów w kurortach. Ale śpiew śpiewem. Ci śpiewacy i grający na mandolinach, bandżach i gitarach ludzie, ubrani w sportowe stroje jak tenisiści, w każdej chwili mogli dać popis swych umiejętności cyrkowych i akrobatycznych. Ja właśnie na to z cierpliwością czekałem. Zaledwie kończyło się „Tango Milonga” albo „Ach Ludwiko, miłością płonę dziką”, albo „Umówiłem się z nią na dziewiątą”, albo „Gdy brazylijskie słońce pali”, gdy już na środek ulicy Akademickiej jak na scenę lub arenę wychodził cyrkowy moczarsz. Opierał na zębach swojej dolnej, wysuniętej do przodu szczęki, trójmetrowej długości drąg. Nie trzymając go rękami, przez parę chwil chodził, a nawet podskakiwał, a drąg sterczał pionowo jak pika. Sypały się brawa licznie zgromadzonych widzów i grad miedziaków, które zbierał jakiś zwinny cyrkowy młodzieniec, też jak tenisista w tenisówkach, w długich śnieżnobiałych spodniach i granatowej herculesie.

Zebrane miedziaki wysypał moczarszowi z drągiem do kieszeni bluzy, a sam błyskawicznie lekkim, kocim ruchem wskoczył moczarszowi na ramiona, by z szybkością i łatwością małpy wspinać się na czubek drąga. Tam, do specjalnie zrobionego otworu, poprzecznie włożył paleczkę, którą miał ze sobą i, i... I zamarłem w podziwie, jakby to tylko był sen jak w bajce, jak w bujdach i bajdach mojej niani. On stał na tym czubku do góry nogami, rękami opierając się na końcach poprzecznej paleczki. Stał, jak kolumna, jak pikująca rakietka, tylko nogawki jego śnieżnobiałych spodni osunęły się trochę do kolan odsłaniając muskularne, opalone łydki. A potem ze szczytu tej iglicy odrywał się jak ptak i robiąc w powietrzu koziółka, jak gdyby nigdy nic, z uśmiechem, miękko lądował na ziemi. Następnie kłaniał się publiczności. Znów sypały się miedziaki i burzliwe oklaski.

Takim być jak on – myślałem w zachwycie rzucając garść miedziaków. Nowiutkie, błyszczące jak prawdziwe złoto miedziaki, które dał mi ojciec. Takim być jak on. Koziółkować w powietrzu. Fruwać jak ptak. Niczego się nie bać. Kochałem jego śnieżnobiałe spodnie i granatową herkuleskę. A on mrugał do mnie swym lazurowym okiem. Podszedł. Uśmiechnęła się szczupła, miła twarz. Pochyliła się jasnawłosa głowa. Położył rękę na moim ramieniu.

– Przyjdź do nas dzisiaj wieczorem. Do naszego cyrku. Zobaczysz lwy i tygrysy i ogromnego słonia. Zobaczysz Indianina w pióropuszu rzucającego tomahawkiem i murzyna z wężem boa.

– Dziękuję! Na pewno przyjdę – odpowiedziałem, siłąc się na bardzo gruby głos. Przyjdę

z moim kotem, dodałem i aż zakręciło mi się w głowie ze szczęścia.

– No to pamiętaj! Dziś w cyrku – odwrócił się na pięcie i odszedł jakby płynął w powietrzu.

Tanecznym krokiem zbliżała się ku mnie ruda cyrkówka. Biała spódniczka, zielona bluzeczka. W jednej ręce mandolina a w drugiej kolorowa piłka do tenisa, czerwono-zielono-żółto-niebieska. Jojo! Krzyknęła do mnie wysokim szklanym głosem. Zamachnęła się i bums prosto we mnie. Chciałem odskoczyć w bok, ale po bokach stali ludzie. Odskoczyć chciałem w tył, ale za mną stał ojciec. A tymczasem kolorowa piłka, rzucona we mnie, jak zaczarowana zatrzymała się tuż przed moim nosem w powietrzu i posłusznie wróciła do dłoni rudej cyrkówki, roześmianej od ucha do ucha. Jojo! Krzyknęła jeszcze raz cieniem szklanym głosem i pokazała mi na swej dłoni czerwono-zielono-żółto-niebieską piłkę, zrobioną z błyszczącego celofanu i przywiązaną do środkowego palca gumową nitką.

– To się nazywa jojo. Masz ode mnie – powiedziała ruda i założyła pętelkę gumowej nitki na mój palec. Rękę w której trzymała mandolinę uniosła jak ksiądz tacę, a mój ojciec przez dziurkę do wnętrza mandoliny wrzucił pieniądze.

Już wracaliśmy do domu żeby zdążyć na obiad na którym mieli być goście, nasi znajomi z dziećmi a to oznaczało, że będziemy się mogli świetnie razem bawić.

– Świat chyba zwariował – powiedziała mama. Popatrzcie, wszyscy mają jojo. Z tym jojem zwariowali.

To była prawda. Dzieci i dorośli, pojedynczy przechodnie i całe rodziny, wszyscy bawili się jojem. Kolorowe, celofanowe piłki podskakiwały na każdym kroku. W górę, w dół, w lewo, w prawo, skośnie i naokoło. Świat naprawdę zwariował. A ja? A ja razem z nim. Bums jojem w prawo, a jojo wraca. Bums jojem w lewo, a jojo wraca. Bums jojem w górę, a jojo wraca. Bums jojem w dół, a jojo uderza w ziemię i też wraca. Bums! Bums! Bums! A chce mi się siku. Bums! Bums! Bums!

Byliśmy już prawie przy sklepie jubilersko-zegarmistrzowskim Zippera, patrzę, a tam pod murem kamienicy na niziutkim stołeczku siedzi stary, śpiący mundur z medalami na piersi, z czapką wojskową na kolanach, położoną, jak garnek bez pokrywki. Mundur śpi, bo ma zamknięte oczy a jest niedziela, samo południe. Słońce świeci w twarz, a on ma zamknięte oczy. Może tylko udaje. No to bums! Jojo samo wyrwało się z ręki żeby sprawdzić stan rzeczy przez zaskoczenie, tak jak to zrobiła ze mną ruda cyrkówka, ale oczy śpiącego munduru wcale się nie otworzyły. A jojo? O nieposłuszne jojo. Zamiast wrócić na czas bezpiecznie do ręki, przekroczyło linię demarkacyjną i z rozpędem walnęło śpiący mundur w sam środek czoła. Mundur drgnął. Złapał się ręką za czoło, ale oczu nie otworzył.

Mama krzyknęła – co ty zrobiłeś! A śpiący

(Dokończenie na stronie 24)